



DATA WYDANIA 30.10.2009 R.

WSTĘPNIAK

Jak co roku mamy poślizg. I jak co roku niezwykle trudno wrócić po wakacjach do szkolnej rzeczywistości – ze stresem, klasówkami, sprawdzianami etc. A jednak chyba wracać warto – nie tylko dla wiedzy, która ma nam ułatwić wejście

w dorosłość, ale także dla ludzi, za którymi się stęskniliśmy, dla tych wszystkich, którzy często znudzeni lub zirytowani (ale może jeszcze częściej jednak zadowoleni z tego, co wokół?) krążą po korytarzach, czytelnicy, siedzą z(a) nami w ławce.

Nowy rok to też nowy zespół redakcyjny – dlatego zachęcamy do przyłączenia się do nas, może chcecie podzielić się z nami swoimi uwagami, spostrzeżeniami? (Oby) miłego czytania! - Redakcja



W TYM NUMERZE:

Wokół szkoły i nie tylko

Wokół szkoły i nie tylko	1-12
Co z tym Płońskiem?	2
Integracja towarzyska	3
Internat – idzie nowe	4-5
Wymiana z Hechingen	6-8
Dzień Patrona	9-11
Lekcja Historii	11-12

Felietony

Felietony	12-16
Stres przed maturą	12-13
Z życia maturzysty	13-14
Przerób smutek na radość	14-15
Hakerzy	15-16

Recenzje

Recenzje	16-25
Pakt Warlikowski-Krall	16-17
Miłość, śmierć i dojrzewanie	18
Once	19
Bękarty Wojny	20-21
Fala – udany eksperyment?	21-22
Fala	23
Galerianki	24
Mądrość i seks	24-25
Z pamiętnika nastolatki	25-27

CO Z TYM PŁOŃSKIEM?

Nie zastanawialiście się nigdy nad tym, jak w ostatnim czasie zmienił się Płońsk? Mnie się to czasami zdarza. Szczególnie, odkąd zauważam zmiany na - gorsze.

Jeszcze kilka lat temu Płońsk był dla mnie miastem przyjaznym. Pamiętam sytuacje, kiedy byłem małym dzieckiem i panie w kolejce przepuszczały mnie w sklepie... Moja mama bardzo często wspomina kulturę kierowców. Dawniej prowadzący pojazdy byli mili i uprzejmi... Stojąc na światłach, nikt się nie denerwował...

Jak jest dziś, każdy z nas wie i widzi... Określiam to mianem

„wszechobecnego chamstwa”. Przykładów jest wiele. Zaczęłyby od najbardziej powszechnego. Uczniowie 3 klas liceum do szkoły przyjeżdżają zazwyczaj samochodami. Parkują przy MCK-u, wyjechanie z ul. Karulaka po godz. 15 graniczy więc z cudem. Prawie nikt nie przepuszcza samochodów czekających na wyjazd z tej strony... A przecież każdemu się śpieszy... Szkoda nawet wspominać o żenującym zachowaniu jednego z właścicieli okolicznych sklepów, który porysował kilka samochodów na

szych uczniów po to, by nie stali w pobliżu jego sklepu.

Jeszcze innym przykładem może być zwyczajny spacer ulicami Płońska. Nie trzeba nawet szczególnie nadstawiać uszu, by usłyszeć rynsztokowe wręcz wyzwiska i przekleństwa, wypowiedziane bez zastanowienia się. Będąc w rynku, nie da się



nie zauważyć siedzących na ławkach alkoholików. Często zaczepiają oni przechodniów, prosząc o „drobniaki”. Można więc z całą pewnością stwierdzić, że poziom bezpieczeństwa w naszym mieście bardzo spadł. Potwierdzają to moje rozmowy z mieszkańcami. Ogromna ilość płońszczan po prostu boi się wyjść na miasto po zmroku!

- Unikam wychodzenia wieczorem. Obawiam się chodzących ulicami grupki dresiarzy... - stwierdza jedna z mieszkank

Płońska.

Płońsk nie kojarzy się nam także z pięknem. Wiele osób narzeka na dziurawe chodniki, które już nie jednemu sprawiły ból. Powoli znikają z panoramy miasta takie obiekty jak stary dom znajdujący się przy ulicy Zduńskiej. Jednak takich „straszydeł” wciąż jest zbyt

wiele... Wpływa to niekorzystnie na nasz odbiór i wizerunek miasta na zewnątrz. Ujemnie działa także działalność „lokalnych artystów”. Mury na pewno nie pięknieją od tych „skromnych” napisów.

Jest wiele rzeczy, które należało by w naszym Płońsku zmienić. Cytując hasło reklamowe jednej z partii politycznych: „By żyło się lepiej...” zaczniemy coś zmieniać. A jeżeli chce się coś zmienić, należy

zacząć od siebie. Mechanizm ten jest bardzo prosty i działa na zasadzie: „Będę miły dla innych, to inni będą mili dla mnie”.

- anonimowy płońszczanin

Integracja towarzyska, czyli wieczorek zapoznawczy

Artykuł autorstwa Elizy Kleniewskiej

Nareszcie nadszedł długo oczekiwany przez pierwszaków dzień, w którym każdy miał okazję się pokazać z jak najlepszej strony oraz zaistnieć w młodzieżowym społeczeństwie szkolnym. 1 października było głośno. Od samego rana wyczuwało się napiętą atmosferę. Ostatnie próby – albo dopiero co zaczęte przygotowania do wieczornej prezentacji – zaprzątały nasze głowy od samego rana. Każdy chciał wiedzieć, co zaprezentują inne klasy, nikt już nie mógł doczekać się końca lekcji. W końcu zabrzmiał upragniony dzwonek o 15.05 i tłum wysypał się na ulicę. Każdy w pośpiechu wracał do domu, aby wyszykować się na czas. Zresztą niektórzy nawet zostali po lekcjach w szkole i dopracowywali swoje przedstawienia. Punkt siedemnasta samorząd szkolny zorganizował wejście na dyskotekę, na które składały się pewne formalności... i zaczęło się.

Każda klasa kolejno zaczęła prezentować swoje talenty. Było przy tym mnóstwo śmiechu, ale także pojawił się podziw dla pomysłowości bądź talentu kolegów. Ludzie mieli naprawdę oryginalne pomysły, aby zaistnieć. Klasy pierwsze gimnazjum poszły śladami twórczości poetyckiej. Jedna klasa wymyśliła świetną piosenkę, natomiast klasa 1z ułożyła krótkie zabawne wierszyki na temat każdego ucznia tej klasy. Naprawdę gratulujemy pomysłowości, gdyż taki występ nie

powtórzył się w kolejnych prezentacjach. Przyszedł czas na licealistów. Wtedy to się dopiero działo! Klasa 1a udowodniła, że śpiewać potrafi, a żeby nie było nudno, Alicja grała na gitarze. Trzeba przyznać, że klasa 1b bardzo sprytnie wybrnęła z trudnej sytuacji, jaką zgotowała im pogoda. Dziewczyny na widowni oszalały na punkcie tańczących chłopaków i jeszcze te pyszne lizaki... Dziękujemy za poczęstunek. Klasę 1c reprezentowały dwie uczennice, które genialnie przedstawiły krótką i zabawną scenkę z życia ucznia na lekcji języka polskiego. Dziewczyny wykazały się dużym poczuciem humoru oraz, nie ukrywajmy, talentem aktorskim. Występ 1d zakończył się największymi owacjami publiczności. Trzech odważnych chłopców zdecydowało się wystąpić w roli, jak zapowiedziała ich Sylwia, najseksowniejszych dziewczyn klasy 1d. Dosłownie płakaliśmy ze śmiechu, gdy chłopaki uwodzicielsko tańczyli z krzesłami i prezentowali nam swój urok osobisty. Chłopcy gratulujemy odwagi oraz dystansu do siebie. Przyszła kolej na klasę 1e, która jako jedyna zaprezentowała układ taneczny. Dziewczyny długo przygotowywały się do występu i sądząc po reakcji publiczności, ich wysiłek się opłacił, bo nasi rówieśnicy nie szczędzili braw. Następnie wystąpił kabaret „Łowcy.E” w skeczu pt. „Legenda o butach”. Aktorzy włożyli wiele starań i zaangażowania w ten

występ i trzeba powiedzieć, że wyszło im to świetnie. Klasa 1f zaśpiewała świetną piosenkę, która zakończyła nasze pokazy.

Następnie ogłoszono konkurs na portret swojego wychowawcy. Przedstawiciele klas w ograniczonym czasie musieli narysować wizerunek swojego wychowawcy, który potem był oceniany – zwyciężyć miała ta grupa, która otrzyma najwięcej braw. Konkurs wygrała klasa c. Zdawało by się, że wieczorek dobiega końca, gdyż wiele osób powoli nas opuszczało, ale spokojnie, zabawa dopiero się zaczęła. Dj zapodał fantastyczną muzykę odpowiednią do tańczenia dla wszystkich. Z biegiem czasu było coraz ciemniej, więc i wszelkie objawy wstydlivości czy skrępowania zanikały a zabawa rozkręcała się za minuty na minutę. Wszyscy naprawdę świetnie się bawili – sądząc przynajmniej po wypiękach na twarzach osób opuszczających salę. Tańce trwały do 21.00, następnie wszyscy pojechali do domu. Nadszedł czas rozprawienia się z bałaganem, czym zajęła się sekcja porządkowa. Serdeczne podziękowania dla Was za przywrócenie sali do porządku po naszych wygłupach.

Wieczorek ten, jak sama nazwa wskazuje, był okazją do poszerzenia grona znajomych z innych klas i myślę, że zdało to swój egzamin. Zobaczymy, czy w przyszłym roku będzie równie zabawnie i pomysłowo.

INTERNAT – IDZIE NOWE

REPORTAŻ

Mieszkamy najbliżej szkoły, a właściwie prawie w niej. Ten sam budynek, jednak zupełnie inne życie. Niewiele osób spoza naszego grona wie, co tak naprawdę dzieje się w internacie. Każdy wyobraża to sobie na swój sposób. Dwa lata temu w gazetce szkolnej ukazał się artykuł o tym miejscu, jednak nie do końca nie odzwierciedlił on nasze życie. Od tamtej pory prawie wszystko się zmieniło, sformułowano dużo nowych zasad, których nie chcieliśmy. Owszem, istniał wspomniany regulamin, jednak niewiele osób wiedziało o jego istnieniu, a jeszcze mniej stosowało się do niego. Mimo iż każdy robił to, co chciał – jedni uczyli się, inni rozwijali swoje pasje, a większość oddawała się życiu towarzyskiemu – wszyscy zdali do następnej klasy, co więcej – najstarsi dostali się nawet na studia. Nikt nie potrzebował przymusowego czasu nauki własnej. Nikomu nie były potrzebne zbędne reguły, ograniczające własną inwencję dotyczącą spędzania wolnego czasu. W porównaniu z ubiegłymi latami życie w internacie jawi się jako nieosiągalna dziś wolność. Po wrót ze szkoły łączył się z powrotem – do domu, do internatu. Ostateczny powrót do siebie, do własnego pokoju teoretycznie powinien odbyć się do godziny 22.00, w praktyce granica ta stała się elastyczna. Teoretycznie powinniśmy się uczyć, praktycznie kilka razy w

tygodniu internat tętnił głośną muzyką, gdyż zawsze znalazła się okazja do świętowania. O tym, co działo się pod osłoną dźwięków, teraz możemy tylko pomarzyć. Nie możemy organizować imprez, bo po co? Mamy się uczyć, a to by nas tylko niepotrzebnie rozpraszało. Po co mamy wychodzić po lekcjach, skoro mamy zagwarantowaną rozrywkę na miejscu? W postaci nauki własnej rzecz jasna... W sumie to wszystko zależy od punktu widzenia. Pierwszą reakcją na nowe zasady był wszechobecny bunt. Niektórzy rozważali możliwość wyprawki, bo nikt dobrowolnie w więzieniu mieszkał nie będzie. Potem nastąpiła fala strajków – pielgrzymki w celu poskarżenia się na zmiany, wyrażenia swej niechęci do nich, tudzież w celu wyegzekwowania poprawy naszej sytuacji. Dlaczego niezadowolenie? Bo przecież każdy, kto czuł wolność i nagle został jej pozbawiony (przynajmniej w pewnym stopniu) czuje bunt. Obecnie wszyscy są już przyzwyczajeni do nowego porządku, a słowem, które najczęściej określa sytuację, jest parodia, tudzież groteska. Niektóre sytuacje wydają się być tak absurdalne, że sami się z tego śmiejemy. Tradycją stały się czwartkowe rozmowy moralizujące, nieważne, czy zaistniało jakiegokolwiek przewinienie. Na początku drażniły, irytowały, teraz stają się rutyną, ba – nawet śmieszą. Mamy stół do tenisa stołowego, mamy wspólne wyjścia na basen, na siatkówkę,

mamy jeden komputer na kilkadziesiąt osób... Na szczęście potrafimy się dostosować. Kolejne zasady nie spotykają się z aprobatą, bo wszystkie w pewnym stopniu nas ograniczają. Tym, którzy lubią uczyć się dużo i w spokoju, nowe zasady pasują. Brak hałaśliwych imprez też jest im na rękę. Jednak większości wolałaby większą swobodę. Tak naprawdę wszystko zależy od naszego nastawienia. Nie ma sensu wszczynać buntu tylko po to, żeby się przeciwstawić. Nie warto narzekać, nie próbując niczego zmienić. I najważniejsze – w każdej sytuacji trzeba odnajdować te lepsze strony. Sama, z perspektywy czasu, mogę powiedzieć, że nigdy nie żałowałam, że mieszkam w internacie. Co więcej – żałuję, że to już ostatni rok. Wspólne posiłki, wspólne buntowanie się przeciwko niepotrzebnym – naszym zdaniem – ograniczeniom, wychowawcy, ich pseudonimy i zwyczaje, a co najważniejsze – wielu znajomych, niemożność czucia się samotnym w takim gronie... To wszystko sprawia, że internat to nie tylko budynek, w którym mieszkają uczniowie, ale przede wszystkim duża grupa ludzi, którzy może woleliby, żeby niektóre sprawy układały się inaczej, jednak potrafią wspólnie spędzać czas i mimo wszystko cieszyć się tym, co jest.

Z sentymentem wspominam dwa lata spędzone w tym miejscu, starszych kolegów, którzy wprowadzali nas w zwyczaje

tam panujące, dawne zasady i wszystkie spędzone tam chwile. Oni poszli swoją drogą, teraz my jesteśmy najstarsi, najbardziej odczuliśmy zmiany, przyzwyczailiśmy się do nich, nie rezygnując z prób osiągnięcia konsensusu. Miejmy nadzieję, że Ci, którzy mieszkają w internacie, pierwszy rok będą dobrze wspominać – to miejsce, ludzi, wszystkie chwile...

Wspólne wieczory przy jednym telewizorze jednoczą, wspólne posiłki smakują lepiej. Kolejka do jedynego komputera jest bardzo demotywna, poranne budzenie irytuje... Jednak wszystko to, co się dzieje, w pewnym sensie kształtuje osobowość, a znajomości tu zawarte prawdopodobnie nie skończą się wraz ze szkołą. Bezcenne.

W internacie najważniejsi są ludzie. Zadałam kilka pytań osobom, które tam mieszkały lub mieszkają nadal.

Co, z perspektywy czasu, możesz powiedzieć o swoim pobycie w internacie? Czy żałujesz, że tam mieszkałaś?

"Mój pobyt w internacie to najlepsze, co spotkało mnie podczas trzech lat liceum. Najważniejsze było to, że nigdy nie czułam się tam samotna. Wspominam ten okres bardzo dobrze. Wspólna nauka jednoczyła. Najfajniejsze były śniadania – rano widzieliśmy się jeszcze w piżamach, nieuczesani i zapani, a potem w szkole – te same osoby, w innym wydaniu :) Cieszę się, że mieszkałam tam i nie żałuję tych trzech lat."

Natalka, 19 lat, ponad dwa lata w internacie, absolwentka

Mieszkaś w internacie już czwarty rok. Jak oceniasz te lata, zmiany, które zaszły w tym czasie, co Ci się podoba?

"W pierwszej klasie były chwile, kiedy miałam dość – byłam najmłodsza i nie wiedziałam, co mnie czeka. Jednak właśnie wtedy najbardziej odczuwałam opiekę starszych kolegów. Spędziłam w internacie kilka lat, wiele przez ten czas się wydarzyło, zaszło dużo zmian. Teraz mamy więcej ograniczeń, jednak także nowe możliwości. Czujemy, że ktoś się nami interesuje – może nawet za bardzo, ale jednak. Mogę powiedzieć, że to miejsce stało się moim drugim domem. Cieszę się, że tu mieszkam i nie żałuję lat tu spędzonych."

Benia, 16 lat, czwarty rok w internacie

Jak podoba Ci się życie w internacie? Jak oceniasz jego działania z perspektywy dwóch lat?

"Uważam, że życie w internacie w ciągu tych dwóch lat zmieniło się na gorsze. Według mnie jest to spowodowane między innymi nową kadrą, jednak nie tylko dlatego. Mieszkańcy internatu z roku na rok mają coraz mniej energii, a może nawet ochoty na zawieranie nowych znajomości i życie we wspólnocie... Podoba mi się to, że jeszcze są ludzie, którzy nie boją się walczyć o swoje prawa i chcą przywrócić czasy świetności internatu :)"

Em., 18 lat, trzeci rok w internacie

Jak podoba Ci się internat z perspektywy tego prawie dwóch miesięcy w nim spędzonych?

"No więc życie w internacie jest fajne pod tym względem, że nigdy nie jest nudno.. W moim przypadku mieszkanie tam to najlepsza alternatywa, ponieważ dojeżdżanie codziennie do szkoły nie byłoby zbyt ciekawe... Oczywiście nie żałuję, że tam zamieszkałam. Prysznic mogłyby być trochę bardziej czyste a jedzenie smaczniejsze, ale ogólnie nie jest źle :)"

Magda, 16 lat, pierwszy rok w internacie

Jak widać – nie jest najgorzej ;)

eM.

Serdecznie witamy... - czyli wspomnienia uczestników wymiany

Polscy uczniowie mieli okazję wziąć udział w wymianie - wyjazd do Hechingen, pod opieką pani Biernackiej oraz pani Głowackiej, okazał się dla nich niesamowitą przygodą. Pozwolił poznać bliżej obcą kulturę, obyczaje i życie codzienne kolegów z innego kraju. Poniżej zamieszczamy wspomnienia kilkorga z uczestników. □ □

Ania Pałac, uczennica klasy 1a

„Serdecznie witamy” – tymi słowami przywitali nas nasi niemieccy partnerzy w uroczym miasteczku Hechingen 5. października. Wykończeni po osiemnastu godzinach jazdy, wychodząc z autobusu, natknęliśmy się na pełen życzliwości żółty transparent z (jak dobrze:) polskimi słowami. Do wymiany przygotowaliśmy się już przed wakacjami i z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy dnia wyjazdu. W końcu nadeszła upragniona niedziela i wówczas chyba wszystkich zaczęła ogarniać trema, co będzie, jeśli nic nie zrozumieć, jeśli będą się ze mnie śmiać, kiedy nie będę umieć powiedzieć ani słowa? Całe szczęście, nasi niemieccy koledzy przywitali nas tak życzliwie i ciepło, że już po kilku godzinach stres odszedł w zapomnienie, jedynie zmęczenie mieszało się z wielkim podnieceniem i oczekiwaniem przygody.

Następnego dnia obserwowaliśmy, jak wygląda lekcja w niemieckim gimnazjum i zostaliśmy oprowadzeni po tej bardzo nowoczesnej i zadbanej szkole. Po obiedzie, jako że temat przewodni wymiany brzmiał: „Fauna i flora Hechingen oraz Płońska”, wybraliśmy się na wycieczkę do lasu z panem leśniczym, który opowiadał nam o specyfice niemieckich lasów oraz zapoznawał z wieloma ciekawostkami na temat drzew i zwierząt.

Środa zaczęła się dość niepozornie, ponieważ w ciepły poranek zbieraliśmy materiały do naszego projektu w zoo w Stuttgartarcie. Chyba wszystkich, a w szczególności dziewczęta, zachwycały goryle o mądrych, chwytających za serce oczach. Prawdziwe szaleństwo zaczęło się jednak po południu, kiedy odwiedziliśmy wesołe miasteczko. Na olbrzymiej powierzchni umieszczone były wszelkie możliwe rodzaje karuzeli, domy strachów, kolejki wodne, a do tego wszystkiego apetyczne kurczaki, świeże owoce i rozplywająca się w ustach czekolada. Nie będę mówić za moich kolegów, ale oobiście muszę przyznać, że bawiłam się wyśmienicie.

Kolejnego dnia wybraliśmy się do Tybingi do ogrodu botanicznego, a tam największą rozrywką (poza oczywiście napawaniem się wiedzą o roślinkach) było smakowanie (żeby nie powiedzieć kolokwialnie: nażera-

nie się) świeżych owoców kiwi i winogrona.

Piątek był dniem ciężkiej pracy nad projektem. Na szczęście popołudnie mieliśmy wolne i nasi niemieccy koledzy zabrali nas do Stuttgartu, byśmy mogli zwiedzić miasto i kupić prezenty dla najbliższych.

Sobotę spędziliśmy w Rottweil, w mieście, którego symbolem jest pies rasy rottweiler, ponieważ to w tym miejscu ta rasa została po raz pierwszy wyhodowana, by chronić stada owiec i bydła przed drapieżnikami. Po zimnym i deszczowym spacerze po tym najstarszym w Badenii-Wirtembergii mieście mogliśmy się ogrzać na basenie z gorącymi solankami.

Ostatni dzień rozpoczął się wspólnym śniadaniem w restauracji. Nie był to jednak zwyczajny posiłek, gdyż obowiązywała tam zasada szwedzkiego stołu i do godziny 14.00 mogliśmy próbować wszystkich rodzajów pieczywa, serów, wędliny, sięgaliśmy po jogurty, nutellę, batony, gofry, żelki, płatki, naleśniki, owoce (te zwykle i morza), sałatki, jajecznice, musy, ciasta, świeże soki, frytki, makarony i na tym chyba powinnam skończyć wyliczanie, bo i tak nie zdołam uwzględnić wszystkiego. Dodam tylko, że było pysznie a obok, dla spalenia kalorii, można było zagrać w kręgle. Z ciężkimi brzuchami, po godzinie 14.00, udaliśmy się na zamek Hochenzollernów, zbudowany

na dość wysokiej górze, majestatycznie wzniesiony ponad miasto, odbudowany w XIX przez Friedricha Wilhelma IV.

Godzina 20.00 była godziną łez, tęskniących już spojrzeń, podziękowań i przyjacielskich uścisków. Myślę, że każdemu trudno było się pożegnać. Spędziliśmy tu naprawdę wspaniałe chwile, niestety, nie jestem w stanie w tekście oddać całej cudownej atmosfery Hechingen. Pewne jest, że niektóre znajomości przetrwają długi czas, że z przyjemnością będziemy wracać do tego miejsca wspomnieniami, a może kiedyś uda się w rzeczywistości. Myślę, że na długo pozostanie nam w pamięci niemiecka wyrozumiałość, opieka i uśmiech. Pozwolę tu sobie w imieniu polskich uczniów podziękować naszym niemieckim partnerom za ten wspólnie spędzony, niezapomniany tydzień, który skończył się w poniedziałkowe południe rzucaniem się w ramiona stęsknionym mamom. Było fantastycznie i mam nadzieję, że oni będą mieli podobne wrażenia po odwiedzinach w Polsce.

Relacja Pawła Bałdygi, ucznia klasy 1a

Niedziela wieczór. 23-osobowa grupa uczniów naszej szkoły czeka wraz z rodzicami i nauczycielkami na autokar, którym pojedą do Niemiec. Wszyscy są podnieceni i pełni entuzjazmu. Przez kolejny tydzień będą skazani jedynie na siebie, swoją znajomość języka nie-



mieckiego oaz swoje słowniki. :D Sorka Głowacka i sorka Biernacka sprawdziły liczbę uczestników. Wszystko gotowe? Wszyscy obecni? No to ruszamy!

Na miejsce dotarliśmy w poniedziałek, około godziny 13, po 17 godzinach jazdy z rytmami disco polo w tle. Zostaliśmy bardzo mile przywitani przez naszych partnerów, którzy wybiegli przed szkołę z plakatem: „Serdecznie witamy w Hechingen”. Po kilku minutach niepewności każdy znalazł „swojego Niemca”. Mimo początkowych problemów ze zrozumieniem Szwabskiego akcentu (Hechingen leży w Szwabii) szybko nawiązaliśmy pozytywne relacje z naszymi partnerami... Czy raczej partnerkami. Wśród Niemców na 23 osoby biorące udział w wymianie jedynie 2 to chłopaki. Ze strony polskiej męska część grupy była liczniejsza, bo aż 4 chłopaków.

Po przywitaniach, przedstawieniach i zapozna-

niach nadszedł czas, by poznać nasze niemieckie rodziny. „Świetni ludzie. Nie miałam żadnego problemu z dogadaniem się.” – twierdzi Ania Pałac z klasy 1A. Nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia. „Moja partnerka zdawała się mną nie interesować. Miała swoje zajęcia, na które chodziła, a mnie w tym czasie zostawiała w domu.” – mówi uczennica klasy 1C Monika Goszczycka.

Jednym z niewielu mankamentów wymiany było to, że nasi partnerzy musieli chodzić na wszystkie zajęcia lekcyjne. Efekt był taki, że całe przedpołudnie i wszystkie wycieczki spędzaliśmy w polskim gronie. A wycieczek było sporo: „Wilhelma” – ogród zoologiczno – botaniczny w Stutgarcie, ogród botaniczny w Tybindze – mieście studentów, wyprawa do pobliskiego lasu, by lepiej poznać politykę leśną Niemiec. Cały program przystosowany został do naszego tegorocznego projektu pt. „Flora i Fauna w Płońsku i Hechingen”.

Relacja Adama Magnuszewskiego, ucznia klasy 1b

Nasza wymiana rozpoczęła się 4 października, ale przygotowania do niej trwały już od kilku tygodni. Byliśmy podzieleni na kilka grup, z których każda miała za zadanie przygotować się z innego materiału. Jedni uczyli się specjalistycznego słownictwa, inni fotografowali charakterystyczne polskie rośliny, a jeszcze inni zajmowali się opracowywaniem tekstów, opisów i ogólną charakterystyką naszych typowych roślin.

Do Hechingen przyjechaliśmy 5 października w granicach godziny 13. Od razu udaliśmy się pod gimnazjum w Hechingen, gdzie czekali już na nas niemieccy partnerzy. Początkowo mieliśmy lekką treść. W końcu byliśmy w innym kraju, nikt poza naszą 25 - osobową grupą nie mówił po polsku, więc musieliśmy liczyć wyłącznie na siebie i swoją znajomość języka niemieckiego bądź angielskiego. Ostatecznie nie było tak strasznie, jak nam się początkowo wydawało. Niemcy okazali się być bardzo mili, przyjaźnie nastawieni, a co najważniejsze nie patrzyli na nas z wyższością. Może wydawać się to błahostką, ale wbrew pozorom takie drobniaczki potrafią popsuć nawet najlepszą atmosferę. W każdym bądź razie, przydzielenie nas do niemieckich kolegów nie trwało długo, dlatego szybko udaliśmy się do naszych domów i mogliśmy skorzystać z niemieckiej gościnności. Pierwsze, co każdy nas musiał zauważyć, to wszech-

obecny porządek. Zgodnie z niemieckim powiedzeniem „Ordnung muss sein” – porządek musi być, czystość i dbałość o środowisko była wszędzie. Jak powiedziała „moja Niemka” – Amelie: „Dbamy o porządek, bo przecież będziemy tutaj kiedyś mieszkać i chyba nie chcielibyśmy się kąpać w śmieciach”. Podczas całego pobytu w Niemczech mieliśmy okazję spróbować typowych szwabskich potraw (Hechingen jest położone w Szwabii), które, według mnie, są przepyszne. Naprawdę.



Widać było, że nasi partnerzy podeszli do sprawy wymiany bardzo poważnie. Nie chcieli niczego popsuć i bardzo im zależało na jak najlepszym zaprezentowaniu się. Organizowali nam czas, jak tylko mogli. Mieliśmy okazję zwiedzić Stuttgart – stolicę Badenii-Wirtembergii, znajdujące się tam zoo Wilhelma, Rottweil – najstarsze miasto Badenii-Wirtembergii, zwiedziliśmy także ogród botaniczny Uniwersytetu w Tübingen. Oczywiście nasi koledzy pokazali nam Hechingen, gdzie następnego dnia mieliśmy Stadtspiel, tj. grę - zabawę, która polegała na wykonaniu powierzonych nam zadań

w określonym czasie. Musieliśmy rozmawiać z Niemcami, pytać się ich o historię miasta, znajdujące się tam zabytki.

Pokazano nam szkołę, która w tym roku obchodziła swoje stulecie. Mieliśmy okazję uczestniczyć w normalnych niemieckich lekcjach – uczyliśmy się łaciny, języka hiszpańskiego oraz religii – zarówno katolickiej, jak i protestanckiej. W wolnych chwilach chodziliśmy do kawiarni, restauracji, pubów, dyskoteki. Specjalną atrakcją był wyjazd do Stuttgartu i na basen do Rottweil.

Poza licznymi przyjemnościami musieliśmy także chwilę popracować. W ciągu dwóch dni wykonaliśmy projekt, którego tematem przewodnim była flora i fauna w Niemczech i Polsce. Ostatni dzień wymiany spędziliśmy z naszymi rodzinami i udaliśmy się do zamku Hohenzollernów, który znajduje się kilka kilometrów od Hechingen. Akurat tak „się złożyło”, że większość z nas miała w programie ten punkt. Kilka osób natomiast wybrało się nad Jezioro Bodeńskie.

Według mnie (i moich kolegów także) wymiana była super. Zapewniono nam mnóstwo atrakcji. Po prostu nie mogliśmy się nudzić. Zobaczyliśmy, jak normalnie żyje się w Niemczech. Poza tym przełamaliśmy stereotypy i udowodniliśmy Niemcom, że Polacy to nie tylko pijacy i złodzieje. To też normalni ludzie, z którymi da się zaprzyjaźnić.

Dzień Patrona – wśród bohaterów Sienkiewicza

Jak co roku w listopadzie obchodzimy uroczyste Dzień Patrona. Jest to moment szczególnie ważny dla klas pierwszych – licealnych i gimnazjalnych – które uczestnicząc w ślubowaniu, stają się równoprawnymi członkami naszej szkolnej rzeczywistości. Klasy, co także jest wieloletnią tradycją naszej szkoły, gromadzą się w auli, by wysłuchać wykładu pani Barbary Wachowicz dotyczącego zazwyczaj nie tylko postaci Henryka Sienkiewicza, ale także uświadamiającego wagę takich wartości jak patriotyzm, poświęcenie dla ojczyzny, miłość. W związku z tym dniem ogłoszony został konkurs dla wszystkich uczniów klas pierwszych: „List do Henryka Sienkiewicza – pisarza bliskiego młodemu odbiorcy”. Poniżej prezentujemy krótkie opowiadanie Patryka Ślubowskiego, ucznia 1w, który – dzięki sile wyobraźni – przeniósł się na chwilę do świata „Krzyżaków” oraz fragmenty listów, których autorzy podkreślają, że twórczość noblisty ma dla nich sens uniwersalny. Sama uroczystość przed nami (13XI), ale dobrze byłoby zdawać sobie sprawę, że to, iż chodzimy do szkoły imienia właśnie Henryka Sienkiewicza, naprawdę jest ważne.

- Redakcja

Kartka z pamiętnika. Jeden dzień wśród Sienkiewiczowskich bohaterów.

Stegna, 22lipca 2009 r.

Od dziesięciu dni jestem na

obozie harcerskim. Razem ze mną są wszyscy kumple z drużyny Orląt. Dzisiaj znów przyszła moja kolej na pełnienie warty. Dookoła mnie panuje straszna ciemność. Widzę tylko rozgwieżdżone niebo i wierzchołki sosen odbijające się od księżyca. W ręku trzymam latarkę, której światło umożliwia mi pisanie. Słyszę szum kniei i dochodzące z namiotów chrapanie chłopaków. Już dawno chciałem napisać te parę słów, ale na obozie tyle się dzieje, że trudno mi było znaleźć wolną chwilę. Cieszę się więc, że nadarzyła się okazja, aby opowiedzieć o tym, co przeżyłem kilka dni temu.

15 lipca, w kolejną rocznicę bitwy pod Grunwaldem, wraz z całą drużyną wybraliśmy się na wycieczkę do zamku w Malborku. Zwiedzając kolejne komnaty, miałem uczucie, jakbym był jednym z gości Wielkiego Mistrza. Co tu dużo mówić, poczułem atmosferę tamtej epoki. W refektarzu z uwagą słuchałem słów przewodnika, opowiadającego o planach zdobycia krzyżackiej twierdzy opracowanych przez najlepszych strategów króla Władysława Jagiełły podążającego do „Marienbergu” spod Grunwaldu. „Dużo bym dał, żeby choć przez chwilę przenieść się do tamtych czasów” – pomyślałem. Z rozmarzeniem zamknąłem oczy... Gdy je otworzyłem, uświadomiłem sobie, że... siedzę wysoko na

koniu. Nie mogłem zrobić najmniejszego ruchu. Miałem na sobie diabelsko ciężką zbroję. Kiedy rozejrzałem się dookoła, zobaczyłem mnóstwo innych rycerzy stojących jeden obok drugiego. Ten, który znajdował się najbliżej mnie, był dziwnie znajomy.

- Przecież to Zbyszko z Bogdańca! – krzyknąłem. - A cóż to, pierwszy raz mnie widzicie? – zdumiał się Sienkiewiczowski bohater. Do tej pory myślałem, że wam nie tylko na gładkości nie zbywa, ale i na rozumie. Postanowiłem się już więcej nie odzywać, chociaż miałem straszną ochotę zamienić z nim jeszcze kilka słów. Podczas lektury „Krzyżaków” bardzo polubiłem tego chłopaka. Zaimponował mi swoją odwagą i młodzięcą fantazją. Za rosnącą obok sosną zauważyłem starszego, nieco przysadzistego, brodatego rycerza. „Oho, razem ze Zbyszkiem pod Grunwald pociągnął także Maćko” – stwierdziłem w myślach. Spojrzałem przed siebie. Z obozu widać było doskonale ławę olbrzymich, zakutych w żelazne zbroje koni i siedzących na nich Krzyżaków. Nad wojskami powiewały chorągwie, spośród których wyróżniały się: chorągiew całego Zakonu oraz św. Jerzego z czerwonym krzyżem na białym polu. W pewnej chwili dostrzegłem zbliżającego się do nas króla. Nie mogłem się mylić, to był on. Ubrany w błyszczącą zbroję jechał na cisawym rumaku.

Wówczas też usłyszałem okrzyk:

- Dwóch heroldów zjeżdża od krzyżackiego wojska!

Niebawem zobaczyłem zdążających ku nam na ogromnych, pokrytych kropierzami koniach bojowych mężczyzn. Jeden miał na tarczy cesarskiego czarnego orła na złotym polu, a drugi gryfa na białym tle. Zsiedli z koni, stanęli przed Jagiełłą i skłoniwszy głowy, odprawili swoje poselstwo.

- Mistrz Ulryk - rzekł pierwszy z posłów - wyzywa twój majestat, panie, i księcia Witolda na bitwę śmiertelną i aby męstwo wasze, którego wam widać brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze.

To oznajmiwszy złożył miecze u stóp królewskich. Po chwili przemówił drugi herold:

- Mistrz Ulryk kazał wam też oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w zaroślach. Spojrzałem na króla. Był bardzo poważny.

- Mieczów ci u nas dostatek - powiedział stanowczo, ale i te przyjmuję jako wróżbę zwycięstwa, którą mi sam Bóg przez wasze ręce zsyła. A pole bitwy On także wyznaczy. Do którego sprawiedliwości ninie się odwołuję, skargę na moją krzywdę i waszą nieprawość, a pychę zanosząc - amen.

Po policzkach potężnego władcy stoczyły się wielkie łzy. Wiedziałem, że bitwa niedługo się zacznie. Wraz z całym rycerstwem chciałem odśpiewać „Bogurodzicę” - starą bojową pieśń św. Wojciecha. Niestety, po chwili znów znalazłem się w zamkowym refekta-

rze. Okazało się, że jestem w nim sam, a reszta wycieczki zwiedza już następne komnaty. Tak zakończyła się moja wielka przygoda wśród Sienkiewiczowskich bohaterów. Myślę, że nigdy jej nie zapomnę, nie tylko dzięki tobie, pamiętniku. Teraz wiem, że jeśli się czegoś bardzo pragnie, to może się to spełnić.

Kończy się czas mojej warty, a jeszcze chcę doczytać pierwszy tom „Ogniem i mieczem”. Jestem ciekawy, czy Skrzetuski bez przeszkód dotrze do Zbaraża. A więc do następnego spotkania, zeszyciku. Czuwaj!

Fragmenty listów do H.Sienkiewicza

• „Dziękuję za piękne opisanie przeszłości. Dziękuję za dane mi podstawy do budowania przyszłości. Wreszcie, dziękuję za ten początek mojego nowego życia, który osiągnęłam dzięki lekturze Twoich powieści”, Ala

• „Jestem Panu wdzięczny za Kmicica i Oleńkę, Zbyszka z Bogdańca, Pana Wołodyjowskiego, Ligię i Winicjusza. Dzięki tym wspaniałym wzorcom bohaterów uczy mnie Pan odwagi, szlachetności i wierności. Zostawił mi Pan tęsknotę za lepszym i piękniejszym światem. Każda Pana książka jest dla mnie triumfem miłości nad złem. Pana dzieła nie umierają, są jak mocne ogniwa w łańcuchu pokoleń. Pańscy bohaterowie żyją w mojej świadomości nawet wtedy, gdy zamykam książki, gdy milkną słowa”,

Piotrek

• „Wartości, jakie prezentują Pańskie utwory, pomimo upływu czasu są nadal aktualne, chociaż w dzisiejszym świecie niełatwo być ich zwolennikiem”, Asia

• „Problemy ówczesnych ludzi, dramaty przeżywane przez chrześcijan, którzy poświęcali dla wiary życie swoje swoich bliskich, okazują się uniwersalne, ponadczasowe. Dzięki temu cenię Quo vadis”, Magda

• „Na podstawie opisaną w Krzyżakach bitwy pod Grunwaldem uświadomiłem sobie, że warto zawsze i wszędzie walczyć o polskość, o język, którym władamy, o naszą kulturę i tradycje narodowe”, Gabriel

• „Dzięki swoim książkom potrafił Pan pokazać, co jest w życiu ważne, a czego mamy się wystrzegać”, Gosia

• „Chciałabym, aby pomógł Pan mi i nam wszystkim. Uważam, że w życiu konieczne jest poszukiwanie prawdy i kierowanie się ideałami pięknymi, i nadal wierzę, że Pan przez swoją twórczość może nam w tym pomóc”, Zuzia

• „Niepospolity, wyjątkowy arcyzm, który Pan prezentuje, ma niewątpliwie ogromny wpływ na poczytność Pańskiej spuścizny literackiej. Trafnym będzie w tym kontekście przytoczenie słów Prusa: Nad książkami Sienkiewicza nigdy nie zachodzi słońce”, Kamil

• „Dzięki w Pustyni i w puszczy poznałam wartość prawdziwej przyjaźni. Teraz bardziej

doceniam swoich przyjaciół, inaczej postrzegam świat. Wiem, jakie zachowania cechują prawdziwą przyjaźń i jednocześnie sama potrafię obdarzać nią innych”, Paulina

- „Najbardziej imponuje mi Pański styl pisania i zaangażowania się w tematykę. Podoba mi się również to, w jaki sposób wyraża Pan takie uczucia, jak strach i szczęście”, Julita

- „Bardzo cenię Pana dzieła, szczególnie za niezwykły patriotyzm. Kochał Pan swój kraj, co czuć bardzo wyraźnie”, Klaudia

- „Trylogia ukazuje trudne momenty w historii Polski a następnie jej triumf. Powieści te zostały napisane przez pana ku pokrzepieniu serc, co świadczy o Pana wielkim patriotyzmie”, Marta

- „Dziękuję za to, że Twoje utwory towarzyszą mi przez całe życie, że często wzoruję się na bohaterach, uczę się jak rozwiązywać swoje problemy, jak być silną i niezależną. Młodzież w dzisiejszych czasach potrze-

buje autorytetów, wzorów do naśladowania. Może powinni częściej sięgać po Twoje powieści...”, Łucja

- „Myślę, że jest Pan bliski młodemu odbiorcy, ponieważ w swoich utworach opisuje Pan często zwykłych ludzi, takich jak my, ich emocje i uczucia”, Żaneta

- „Jestem dumna, że dzięki Pana popularności staliśmy się spadkobiercami całej tradycji narodowej, a powieści historyczne stały się źródłem wiedzy, obrazując przeszłość naszej ojczyzny”, Marta

- „Pana dzieła są uniwersalne. Uczą, bawią, skłaniają do refleksji. Sprawily zresztą, że moje zainteresowania skierowały się ku historii”, Marta

- „Panie Henryku, jest Pan dla kolejnych pokoleń Polaków pisarzem, który stał się symbolem polskości. Dzięki Pańskim książkom Polacy przetrwali czas rozbiorów, nie tracąc narodowego ducha walki”, Rafał

- „Uświadomił nam Pan, że

miłość, przyjaźń i odwaga to wartości ponadczasowe. W dzisiejszych czasach tak wiele wokół nas wrogości, każdy stara się znaleźć tym chaosie przyjaciela. Ulegamy często pokusie, jaką jest kłamstwo. Dzięki Panu zrozumieliśmy, jak ważna jest prawdziwa przyjaźń”, Magda

- „Jestem uczniem PGP w Płońsku, które jest związane z Sienkiewiczowską tradycją. To świetnie się składa, bo właśnie Pana książki są moimi ulubionymi. Towarzyszą mi już od kilku lat, dzięki nim przeżyłem wiele niesamowitych przygód”, Patryk

- „Z pewnością wie Pan, że wielu młodych ludzi również pisze drobne formy. Chcą oni odnaleźć sens życia i spełnić się w tym, co robią. Może mógłby Pan udzielić kilku rad początkującym?”, Dagmara

„Uważam, że słusznie otrzymałeś Nagrodę Nobla. Czasami żałuję, że nie ma więcej ludzi takich jak Ty. Może ochroniliby oni świat przed przewrotem wartości, z którym dziś mamy do czynienia”, Sylwia

Lekcja Historii

Artykuł autorstwa Angeliki Szpadzińskiej

17 września w auli szkolnej odbyło się spotkanie z panem Zbigniewem Mieczkowskim – weteranem II Wojny Światowej, oficerem I Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka, odznaczonym m.in. Krzyżem Walecznych, francuską Legią Honorową

czy Komandorią Polonia Restituta. Dokładnie 70 lat po zbrojnej napaści ZSRR na Polskę, mieliśmy okazję spotkać się z człowiekiem, który widział na własne oczy to, czego na co dzień uczymy się z podręczników i co nam, pokole-

niu urodzonemu w wolnej Polsce, wydaje się być czymś bardzo odległym.

Od samego początku spotkania, p. Mieczkowski podkreślał, jak ważna jest dla niego ta wizyta. Była to dla niego swego rodzaju „podróż sentymentalna”. 70 lat

po zbrojnej napaści ZSRR na Polskę, mieliśmy okazję spotkać się z człowiekiem, który widział na własne oczy to, czego na co dzień uczymy się z podręczników i co nam, pokoleniu urodzonemu w wolnej Polsce, wydaje się być czymś bardzo odległym.

Od samego początku spotkania, p. Mieczkowski podkreślał, jak ważna jest dla niego ta wizyta. Była to dla niego swego rodzaju „podróż sentymentalna”. 70 lat temu, zanim wyjechał z Polski, by rozpocząć walki po stronie sił alianckich, mieszkał w pobliżu Płońska. Do jego rodziny należały ziemie w Dzierzanie, Siedlinie, Strachówku i Drożdżynie.

Wywodził się z rodziny ziemiańskiej, uczył się w Warszawie. Wojna zastała go, gdy miał

17 lat. We wrześniu 1939 r. przez Rumunię dotarł do Francji. Następnie ewakuował się z wojskiem generała Sikorskiego do Anglii. Jako oficer I Dywizji Pancерnej generała Stanisława Maczka latem 1944 r. uczestniczył w bitwie pod Falaise, w walkach w Normandii, wyzwoleniu Francji, Belgii i Holandii. Pan Mieczkowski z wielkim zaangażowaniem opowiadał nam o drodze, jaką przebył u boku generała Maczka oraz o wielu interesujących wydarzeniach, których był bohaterem.

Pomimo 87 lat pan Zbigniew Mieczkowski z zapałem opowiada nowym pokoleniom o tym, jak duży wpływ mieli polscy żołnierze na losy wojny. Od lat jeździ po Europie i wygłasza odczyty, m. in. w 2008 roku w

Ambasadzie Polskiej w Paryżu pt. „Polska w walkach o wolność w II Wojnie Światowej”, budując tym samym prawdziwy obraz Polski, której wielka rola, jaką odegrała w wojnie, była przez wiele lat pomijana. Na koniec warto przytoczyć słowa pana Mieczkowskiego, który w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” zapytany, skąd czerpie na to siły, odpowiedział: „Krzywdy wyrządzone naszemu narodowi, mobilizują mnie do walki. Ignorancja Zachodu oraz manipulowanie przez wpływy komunistyczne polskim społeczeństwem wymaga stałego naświetlania kłamstw i nieprawości”. Myślę, że dla wszystkich słuchających wykładu p. Mieczkowskiego, była to wyjątkowa i niezapomniana lekcja historii.

Stres – nieodłączny towarzysz maturzysty!

Artykuł autorstwa Justyny Palusińskiej

Każdy z nas miewa złe chwile, co przejawia się wrogim nastawieniem do całego świata. Mogą być one spowodowane właśnie stresem, który niestety coraz częściej towarzyszy nam w szkole czy w domu. Nie każdy potrafi sobie z nim poradzić. Dla jednych jest przyjacielem, dla innych jednak wrogiem. Podczas spotkania z psycholog i szkoleniowcem panią Moniką Klonowską klasa 3B poznawała metody radzenia sobie ze stresem podczas autoprezentacji maturalnej z języka polskiego.

Aby pokonać stres, należy przede wszystkim zrozumieć, z czym się walczy. Najpo-

pularniejsza definicja brzmi: „Stres to stan napięcia spowodowany trudną sytuacją, z którą nie umiemy sobie poradzić” – napięcie psychiczne, napięcie mięśni, przyspieszone bicie serca, podniesione ciśnienie występują zawsze, gdy dzieje się z nami coś złego, niezależnie od tego, czy jest to zagrożenie fizyczne czy psychiczne.

A więc stres czy trema to reakcje organizmu na to, czego się obawiamy. Mamy wtedy bardzo dużo energii na walkę bądź ucieczkę. Nadmiar energii powoduje chaotyczną gestykulację, pot, ruchliwość czy trzęsienie nóg.

Stres często negatywnie wpływa na mowę ciała, czyli na sygnały wysyłane do naszych odbiorców z naszego ciała, wpływające na to, jak się zaprezentujemy. Aby dobrze wypaść podczas autoprezentacji, musimy zwrócić uwagę na to, co należy rozwijać a czego unikać.

Oczy zdradzają nasz stan, nasze emocje. Nie możemy błędzić nimi po ścianach, czy wpatrywać się w podłogę. Należy uczynić wszystkich odbiorców adresatami naszej wypowiedzi a nie skupiać się tylko na jednym punkcie, jednej osobie.

Twarz ludzka jest jak

książka, można z niej wyczytać wszystko, w tym nadmierny stres, czy pewność siebie. Dlatego powinna ona pozostać w skupieniu z kontrolowanym delikatnym uśmiechem stosownie do tematyki prezentacji.

Gestykulacja to element wypowiedzi pozwalający podkreślić szczególnie ważne treści naszej pracy. Za pomocą palców możemy wyliczać, co również służy nadaniu szczególności słowom. Jednak czasami staje się ona naszym wrogiem, kiedy to pod wpływem emocji dłonie wykonują nadmierne gesty bądź pozostają w bezruchu.

Postawa ciała oddaje niepewność czy nadmierny luz ucznia. Dlatego podczas odpowiedzi czy prezentacji musimy stać pewnie na własnych nogach.

Rekwizyty, jakie ze sobą wnosimy, muszą czemuś służyć

i być przez nas wykorzystywane. Mogą one nam pomóc w stwarzaniu ruchu, nadaniu dynamiki naszej wypowiedzi, ale nie mogą służyć jako tarcza ochronna przed komisją czy nauczycielami. Należy również pamiętać o tym, że nieumiejętne przygotowanie i wykorzystanie rekwizytów może zniszczyć naszą prezentację.

Nasz głos to nośnik informacji. Głośność, barwa, paazy i drżenie głosu przekazują informacje o stanie, w jakim jesteśmy, ale mogą – podobnie jak dłonie – służyć podkreśleniu przekazywanych treści.

Pani psycholog poradziła nam, w jaki sposób zużytkować energię nagromadzoną w naszym organizmie w wyniku wysokiego poziomu stresu. Przed prezentacją należy dużo chodzić, możemy to robić przed klasą. Można również chodzić po schodach czy wykonać kilka

ćwiczeń przed wejściem do sali i w ten sposób rozładować napięcie w ciele.

A oto jak maturzyści radzą sobie ze stresem:

- Aby poradzić sobie ze stresem w szkole, należy sobie uświadomić, że to wszystko i tak nie ma sensu.

- Ja się nie stresuję maturą, po prostu o niej myślę.

- Przeważnie, kiedy ogarnia mnie stres, dużo jem, ale to nie jest dobra metoda radzenia sobie ze stresem.

Czasami pomaga czekolada, czasem odsunięcie od siebie stresujących wydarzeń i próba zapomnienia, jednak stres zawsze był, jest i będzie naszym nieodłącznym towarzyszem.

Życzę maturzystom, aby znaleźli właściwy sposób opanowania emocji i oczywiście powodzenia na maturze!:)

Z życia maturzysty

Artykuł autorstwa Ady Szymborskiej

Jak wszyscy wiemy, trzyletnią naukę w liceum kończy bardzo dla nas ważny egzamin maturalny (gdyby ktoś miał wątpliwości, sugeruję spędzenie jednego dnia na zajęciach w którejś z klas trzecich – jesteśmy w tym fakcie utwierdzani od początku września co najmniej kilka razy dziennie). W związku z tym, chociaż wakacje skończyły się niespełna dwa miesiące temu, większość z nas nie pamięta

już, co to beztroski wypoczynek.

Starając się o przyjęcie do liceum, mieliśmy ramowe plany na przyszłość- wybór klasy o odpowiednim profilu wymagał od nas podjęcia tego rodzaju decyzji. Pod koniec pierwszego roku nauki wybraliśmy zgodnie ze swoimi zainteresowaniami przedmioty, których chcemy uczyć się w szerszym zakresie. Z czasem oczywiście założenia wielu uczniów się zmieniały -

niektórzy decydowali się na przejście do innej klasy, zmianę grup językowych czy rozszerzeń, jednak z naprawdę poważnymi decyzjami zaczęliśmy zmagać się dopiero w klasie trzeciej. To, co jeszcze niedawno było dla nas odległą przyszłością, staje się coraz bliższe.

Okazuje się, że maturzystów trapi nie tylko ogrom pracy i ilość wiedzy, którą do maja muszą posiąść. Zasadniczą kwestią jest czy matura, którą

zdamy, da nam szansę na realizację życiowych planów, słowem - czy mamy szansę dostać się na wymarzone studia. Wymagania stawiane przez uczelnie wyższe są dla nas podstawowym kryterium wyboru rozszerzeń. Kierując się nimi, skupiamy się przede wszystkim na tych przedmiotach, które będą dla nas przepustką na studia. Była to sprawa prosta, dopóki we wrześniu nie okazało się, że wybrana przez nas szkoła wyższa zmieniła kryteria przyjęcia na interesujący nas kierunek, a kandydat na studenta prawa wcale nie musi zdawać na maturze historii i WOS-u, nad którymi ciężko pracuje od dwóch

lat! Zarząd uczelni miał na pewno określone powody wprowadzenia takich zmian, ale dla maturzystów - przynajmniej tych poważnie sprawę traktujących - jest to rewolucja. Zastanawiamy się, czy nie powinniśmy dokonać zmiany przedmiotów, które zamierzamy zdawać na maturze, co teoretycznie nie jest problemem, jednak diametralnie wpływa na tryb i zakres naszej pracy. Takie decyzje musimy podejmować sami, bo nikt nie jest w stanie powiedzieć nam, co mamy robić, by zagwarantować sukces. Wielu z nas poczuło teraz, z czym wiąże się długo oczekiwana dorosłość i odpowiedzial-

ność za siebie.

Oczywiście życie trzecioklasisty nie składa się wyłącznie z nauki i problemów związanych ze szkołą. Tak jak wcześniej, każdy z nas ma swoje życie osobiste i towarzyskie, bez którego nie potrafilibyśmy funkcjonować. Nie oszukujmy się jednak - staje się ono coraz bardziej zredukowane. W związku z tym chciałabym Wam powiedzieć, drogie młodsze koleżanki i koledzy, żebyście nie narzekali na dużą ilość nauki, trudne klasówki i brak wolnego czasu, ale cieszyli się beztroską.

Przerób smutek na radość ...

Artykuł autorstwa Joanny Felczak

W tym wieku podobno to wszystko jest całkowicie normalne. Jakies niepowodzenia, smutki, żale i inne tego typu utrudniacze życia. Sama to przerabiałam po wielokroć, oczywiście nie było to nic przyjemnego. Ale postanowiłam szukać jakiegoś wsparcia. Przecież nie będę się nad sobą użalać do końca życia.

Jak walczyć ze smutkiem? Różni ludzie w inny sposób reagują na stres.

Skupię swoją uwagę na innych

Swoich problemów mam potąd. Ale ciągle myślenie o nich nie przyniesie mi nic dobrego...

Lepiej dać sobie z tym spokój. Nie ma lepszego lekarstwa na własne problemy jak PROBLEMY INNYCH. Wtedy się człowiek dopiero zaczyna zastanawiać, czy jego problemy są rzeczywiście tak duże... A może znajdzie się sposób, żeby je pokonać. Po co się martwisz? Dasz sobie radę Człowieku. I jeszcze komuś pomożesz przy tym.

Pomagając innym, możemy rozpatrzyć nasze problemy od innej strony, rozważyć je na spokojnie. Tylko trzeba pamiętać, że udzielając jakichkolwiek rad, musimy być obiektywni, nie wolno kierować się tylko uczuciami. Jest to więc nie tylko trudne, ale i odpowiedzialne zadanie. Biorąc na barki czyjeś problemy wraz ze swoimi, mo-

zemy wpaść w

jeszcze gorszy stan. Dlatego trzeba z tym bardzo uważać.

Muzyka i czas...

Dla wielu z nas to muzyka jest najlepszym ukojeniem. Cisza, pusty pokój, ciemno, zakładam słuchawki na uszy... Przenoszę się do drugiego świata... Te piosenki są dokładnie o mnie, jakby napisane na podstawie ostatnich wydarzeń... Ech... Pograć się w myślach i trwać tak do końca świata. Oderwać się od rzeczywistości, od tego wszystkiego...

Muzyka nie działa sama, jej pomocnikiem jest czas. Podob-

cia na zawsze w nas zostaną, będą jakąś wskazówką na przyszłość. Może dzięki nim uda się kiedyś uniknąć błędu, może drugi raz nie będziemy tego tak mocno przeżywać...

Ucieczka

Czy to jest dobre wyjście? To zależy... Są trzy rodzaje ucieczek... Tak mi się wydaje, możecie mieć oczywiście inne zdanie.

Pierwszy rodzaj to uciekanie w samotność. Jest to zła metoda, może doprowadzić do wielu złych rzeczy, jak nałogi, depresja. Całkowita alienacja jest bardzo niebezpieczna, człowiek jako istota społeczna musi żyć wśród ludzi. Czasem po prostu nie widzi, że ktoś wyciąga do niego rękę.

Drugi typ to ucieczka w zainteresowania, w sport, muzykę,

sztukę czy inne dziedziny. Jest to stosunkowo dobre rozwiązanie, myślę, że

przynosi świetne skutki nie tylko w sferze psychologicznej człowieka, ale także rozwija jego umiejętności, zwiększa poczucie własnej wartości, daje możliwość zrealizowania się, odczucia satysfakcji z własnej pracy.

Wreszcie trzeci rodzaj to ucieczka polegająca na zajęciu się drugą osobą. Ucieczka w miłość, przyjaźń, prowadzenie rozmów. Jest to świetny pomysł, niesie za sobą mnóstwo korzyści, których chyba tłumaczyć nie muszę.

Należy pamiętać jednak, że uciekanie od problemów nie jest do końca dobrym rozwiązaniem.

Twarzą w twarz

Najlepiej jest stanąć z problemem oko w oko. Oczywiście przyda nam się do tego pomoc najbliższych. Wiem, łatwo się mówi i łatwo pisze... Ale to jest naturalne, że mamy kłopoty, boimy się czegoś, chcemy uciec przed konsekwencjami pewnych decyzji. Trzeba z odważnie stawić temu czoło! To jest bardzo ważne właśnie dla mnie, to moje życie, ja decyduję, co robię. Ale czy potem nie będzie mi lżej, jeśli postaram się rozwiązać ten problem sama? Jeśli zdecyduję się na ten wielki krok, to każdy problem będzie po prostu wyzwaniem i nowym doświadczeniem. Gdy nie radzę sobie z małym problemem teraz, to co będzie w dalszym, dorosłym życiu? Nie mogę zginąć w tym świecie! Ty nie możesz zginąć! Nie daj się do jasnej... ciasnej... No... i tak ma być!

Hakerzy...

Hakerzy – przybysze z piekła, czy żołnierze w walce o wolność? Przez jednych uwielbiani, przez drugich nienawidzeni. Samotni podróżnicy w pustej cyberprzestrzeni. Potrafią robić z komputerami takie rzeczy, o jakich nawet się nie śniło zwykłym śmiertelnikom. Symbol walki z systemem czy słudzy diabła? – jak czasem są nazywani zazwyczaj przez swoje ofiary. Jednak prawdziwi hackerzy nie fałszują danych, nie wyludniają haseł i mnóstwa innych rzeczy, które robią... No

właśnie, kto to robi ?

Crackerzy – „komputerowi włamywacze”. To właśnie oni stoją za wszelkimi atakami na inne komputery, wyludniają hasła, pieniądze i robią jeszcze mnóstwo innych rzeczy, za które można trafić do więzienia. Niektórzy takimi sposobami sprawdzają swoje umiejętności, jednak generalną zasadą crackerów jest spowodowanie jak największych szkód na komputerze swojej ofiary. Od tej nazwy

pochodzi również, jakże dobrze zakorzeniony już w naszym języku, termin „crackowanie”, czyli pozbawianie firmowych zabezpieczeń gier komputerowych choć nie tylko.

Phreaks – w zasadzie również dobrze można ich nazwać crackerami, choć w przeciwieństwie do nich nie włamują się do prywatnych komputerów tylko na serwery firm, głównie telekomunikacyjnych i tam robią różne przekręty z rachunkami,

zerują połączenia, nabijają impulsy itp.

Typowy cracker (lub dużo miłsze określenie „pR0 h4X!0r”) to mężczyzna, zazwyczaj w wieku 15 – 30 lat, korzystający z Internetu przez TP SA, gardzący Linuxem, za to ubóstwiający jedyny słuszny system – Windows. Nie posiada zazwyczaj rozległej wiedzy informatycznej, a wszystkie swoje „sukcesy” zawdzięcza programom do łamania haseł na GG, keyloggerom, dzięki którym może wyłudzać hasła do Plecion i Naszej Klasy.

Takim ludziom zazwyczaj prokurator ręki nie poda, choć niektórzy wręcz się o to proszą, chwając się swoimi „atakami” na forach internetowych. Jednak rzadkie są przypadki, kiedy w ręce sprawiedliwości wpadnie prawdziwy haker.

Ci, którzy nie wpadają, są prawdziwą elitą, prawdziwymi hakerami. Swojej wiedzy nie wykorzystują przeciwko innym ludziom. Robią to dla idei, która każe im „walczyć z systemem”. Być może brzmi to trochę śmiesznie, jednak prawdziwy haker, pozostając do końca swej kariery anonimowym, rzuca wszystkim Adminom wielkich serwisów, korporacji swoją rękawicę.

Żaden haker oczywiście nie ma na celu (bo jeśli ma, to staje się już crackerem) zniszczenia owych korporacji, jednak swoim działaniem chce pokazać, że nikt nie może czuć się bezpieczny. Nawet kiedy wysyłamy mała, przeglądamy wiadomości, gdzieś, po drugiej stronie kuli ziemskiej, ktoś może po prostu widzieć, co robimy. I to dosłownie.

W obecnych czasach hakerzy chronieni sztuczkami z bonetami, ukryci za dziesiątkami Proxy mają broń, o jakiej niektórzy mogą tylko pomarzyć. Broń, która mogłaby zniszczyć ten świat. Również i to stwierdzenie może wydawać się śmieszne, jednak przynajmniej jedno haker w kraju jest w stanie zablokować, zmienić, zniszczyć wiele systemów informatycznych, bez których życie w XXI wieku nie jest możliwe.

Kończąc tym trochę pesymistycznym scenariuszem o cybernetycznej apokalipsie, nie zapominajmy, że hakerzy to przede wszystkim ludzie. Skazując świat na zagładę (to nie jest żart), tym samym zniszcząliby i siebie. A tego przecież byśmy nie chcieli... Świat bez nich byłby taki nudny... :)

-Exol

Pakt Warlikowski – Krall, czyli sztuka dla artystów

Artykuł autorstwa Anny Gąsiorowskiej

Wjeżdżamy na parking przy hali filmowej na warszawskich Nowych Włochach. Tłumy ludzi, przede wszystkim młodych aktorów i ekscentrycznie ubranych artystów znanych z okładek gazet, czy tabloidów plotkarskich. Wszyscy zerkają na siebie, patrzą, kto przybył na to wielkie wydarzenie teatralne – tak ważne i kontrowersyjne.

... A mowa o nowym spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego „(A)pollonia”. Dla tych, którym nazwisko to jest całkiem obce, gdyż nie interesują się polskim teatrem współczesnym, wspomnę tylko, że jest to persona tak kontrowersyjna jak na przykład Tomasz Jacyk w świecie mody. Należy on do „synów” Krystiana

Lupy – ojcobójcy. Ojcobójcami (termin wymyślony przez krytyka teatralnego Piotra Gruszczyńskiego), czyli twórcami nęgującymi to, co stworzyły w polskim teatrze współczesnym lata 70/80., możemy nazwać takich reżyserów jak Warlikowski, Lupa, Kleczewska, Jarzyna, Cieplak, Brzoza czy Augustynowicz. Ojcobójcy są złośliwi,

kontrowersyjni, wykorzystują postęp techniki, zaburzają ład na scenie, a przede wszystkim męczą widza. Określenie „męczą” nie jest tu użyte w formie negatywnej – męczą, bo zmuszają do myślenia, bo rozstrząsają tematy trudne, intymne i zadają nam niedyskretne pytania prosto w oczy... Prosto w serce.

Krzysztof Warlikowski znany jest z tego, że sięga po dzieła antyczne (dramaty Ajschylosa i Eurypidesa) i wyciąga z nich to, o czym w świecie współczesnym często się milczy. Tym razem antyczne sztuki przeplótł z fragmentami twórczości znakomitej pisarki Hanny Krall (m.in. „Tam już nie ma żadnej rzeki”). Jest to opowieść o Ifigenii – dziewczynie, której śmierć miała zbawić ojczyznę, Alkestis – która postanowiła umrzeć za swojego męża i Apolonii Machaczyńskiej, która zmarła, ponieważ nie chciała wydać Żydów, ukrytych w szopie. Wszystkie te trzy historie połączone w jedną sztukę dają dzieło, które doskonale i dogłębnie gra na ludzkich emocjach i wrażliwości. Każda z tych historii jest naznaczona cierpieniem. Relacje, w jakie wchodzi postacie, są agresywne, pełne przemocy lub poniżającej uległości, której siła wzmagą się i zanika w wielkiej hali fabrycznej. Widz zostaje postawiony przed okiem kamery, a ze sceny Jacek Poniedziałek, który wciela się w rolę męża Alkestis, którą poprosił o to, by za niego umarła, mówi – „ Nie proszę was o przebaczenie, nie proszę was o litość, nie proszę was o nic (...) Jestem człowiekiem, jak inni, jestem człowie-

kiem, jak wy. I niech podniesie rękę osoba, która mnie potępia! I niech podniesie rękę osoba, która wyrzeknie się własnego życia!!!”... Na widowni cisza, ludzie spuszczaają głowy, a w moich oczach skrzę się łzy.

Gwałt na scenie, paradyżujący nago Apollo, z namalowaną gwiazdą żydowską, sceny obrzydliwe, trudne do oglądania, krzyk, płacz. To męczy, ale jest niesamowicie prawdziwe. Melodie śpiewane podczas spektaklu przez Renate Jett dodają dramatyzmu scenom rzewnym i symbolicznym. Trudno wysiedzieć te cztery godziny bez krzyku w głowie: „Niech to się skończy, niech pokażą coś pozytywnego, chociaż jeden, jedyne moment!”.

A dlaczego ta sztuka jest według mnie przeznaczona głównie dla artystów? Myślę, że człowiek, który nie chodzi często do teatru, nie podźwignąłby dramatu, jaki niesie ze sobą „(A)pollonia”. Sztuka wydałaby mu się dziwna, często niezrozumiała, na pewno męcząca. Nawet gdy na sekundę widz się wyłączy, traci wątek, gubi się, czuje wszechobecny chaos, który unosi się jak ciężka mgła między plastikowymi krzesłami widowni. To, co aktorzy pokazują, nie jest ani ładne, ani przyjemne. Polecam jednak tę sztukę wszystkim, którzy mają naprawdę mocne nerwy. Jeśli jesteś człowiekiem, który nie lubi teatru „powszechnego”, to ojciecójców wręcz znienawidzisz. Mimo iż mnie osobiście sztuka zachwycała i im dłużej o niej myślę, tym bardziej ją wychwalam, bo jest to sztuka do przemyślenia, a nie do zapomnienia, to ostrze-

gam, że może ona zrazić do teatru. Odważni ryzykujcie!

...Wszyscy artyści wychodzą ze sztuki w ciszy, zerkają na siebie ukradkiem. A gdy wracam do domu o północy, zadaję sobie mnóstwo pytań i zasypiam z lękiem... W ciągłym chaosie rozmyślań.

Miłość, śmierć i dojrzwanie

Artykuł autorstwa Jowity Jędras

„Weronika postanawia umrzeć” Paulo Coelho to opowieść o młodej dziewczynie, która w wieku 24 lat stwierdza, iż osiągnęła już wszystko. Ma pracę, może niezbyt satysfakcjonującą, ale ze stałą pensją i „pewnym stołkiem”. Jest piękną kobietą, a tym samym nie cierpi na brak komplementów czy mężczyzn w swoim życiu. Uprawia regularny seks i dostaje kwiaty.

Mieszka sama. Wieczorami czyta książki lub ogląda telewizję. Ale pewnego dnia uświadamia sobie, że całe jej życie jest schematem, rutyną i pustką. Nie ma marzeń, celów do osiągnięcia ani większych wartości. Praca

staje się koniecznością, dzięki której płaci rachunki, a seks zwykłym przyzwyczajaniem, zero w nim miłości i wyższych uczuć. Jej życie określone jest pewnymi etapami, na które składają się: środki nasenne, utrata przytomności, niespodziewana pomoc i wreszcie kuraacja w zakładzie psychiatrycznym. Tutaj dziewczyna dowiadyuje się, że tabletki nieodwracalnie uszkodziły jej serce. Po-

zostało jej pięć dni życia. Po etapie buntu i zupełnej rezygnacji, pragnie jednak zacząć od nowa. Poznaje wspaniałych ludzi, dojrzuje do prawdziwej miłości i w pełni wykorzystuje każdą sekundę, jaka jej pozostała. Spełnia swoje marzenia i otwarcie wyraża opinie. Życie nie jest już absurdem, ale wyzwaniem, które świadomie przyjmuje.

zupełnie z innej perspektywy. Ta książka to nowe oblicze codzienności, które warto poznać.



Kadr z ekranizacji książki

„Weronika postanawia umrzeć” to przejmująca opowieść o samotności, poszukiwaniu sensu życia i prawdziwej miłości, która nasuwa czytelnikowi pytanie: „a jakie jest moje życie?”. I nie jest to nic nowego. Literatura od zawsze podejmuje tego typu motywy, ale sposób, w jaki autor je przedstawia, sprawia, że patrzymy na nie z

Once – małe a cieszy

Artykuł autorstwa Michała Markiewicza

Delikatny powrót do przeszłości. Film „Once” przeszedł raczej bez większego echa wśród dużej części widzów. Opinie – oczywiście jak przy każdym filmie – są bardzo podzielone. Ja należę do grupy zwolenników tego małego arcydziełka, dlatego tym bardziej dziwi mnie fakt, że mało kto o nim słyszał. Prawda, ani z Johna Carneya reżyser, ani z Glena Hansarda aktor. Podejrzewam, że kogoś takiego jak Markéta Irglová również mało kto kojarzy. Ja w dalszym ciągu mam problem z zapamiętaniem ich nazwisk. Po obejrzeniu filmu w fotelu siedzi się jednak cicho, a brawa bije się nawet w trakcie seansu. *Once* jak każdy film ma swoje wady i zalety, jako całość natomiast odbiera się go zdecydowanie na plus.

Na pierwszy rzut oka – nuda. Kolejne romansidło. Biedny, poszkodowany, skrzywdzony przez życie mężczyzna z bagażem doświadczeń, wyrażający swoje emocje poprzez muzykę poznaje równie biedną, poszkodowaną i skrzywdzoną przez życie kobietę i – uwaga – również z bagażem doświadczeń! Na dodatek wywiązuje się między nimi przyjaźń, nie miłość. Żeby was jeszcze bardziej zachęcić, powiem, że akcja nie toczy się w szybkim tempie a film ma nastrój melancholijny, smutny, zaryzykuję – dołujący. Mimo to urzeka. Życie jest piękne tylko w filmach? Ten zdecydowanie temu przeczy.



Tutaj życie nie zakłada masek, nie przebiera się, żeby pokazać się nam, widzom, z jak najlepszej strony. Nie twierdzą oczywiście, że życie jest paskudne, a okrutny świat zabija myślicieli, romantyków, wrażliwców, czyli dzisiejszych nieudaczników. Trzeba sobie w nim jakoś radzić, a nie tylko żyć marzeniami, to normalne. Ten człowiek, biedny, poszkodowany z bagażem doświadczeń nie jest w moich oczach ofiarą. Jego grzechem jest tylko to, że urodził się nie w tym czasie, w którym powinien. Jego osobowość, charakter, przekonania uniemożliwiają mu „normalne” życie, które ludzi takich jak on dziś bezlitośnie trawi i wydala. Mężczyzna, który tworzy muzykę dla swojej byłej dziewczyny, naprawia odkurzacze, gra na ulicy za pieniądze? Faktycznie ideał... Za tym wszystkim kryje się jednak bardzo ciekawy człowiek, ale żeby go dostrzec, trzeba się w niego wczuć, przestać

oceniać. Typ samotnika. Świat przesłoniła mu kobieta, która go zostawiła dla innego. Kiedy poznał pewną dziewczynę, początkowo nie zmieniło się nic. Dopiero po pewnym czasie okazało się, że ich historie, podobnie jak oni sami, są do siebie bardzo podobne. Przyjaźń między tymi dwojgą (ciekawostka, główni bohaterowie... Nie mają imion, twórcy uznali to za nieistotne) nie trwała zbyt długo. Dzięki niej jednak nabrali wiary w siebie. Połączyli wspólne pasje, nagrali płytę. Niby nic niezwykłego, ale jednak. On postanowił wrócić i zawańczyć o swoją miłość, ona zdecydowała, że da jeszcze jedną szansę mężczyźnie, który ją oszukał. Koniec. Szału nie ma, wybuchów ani fajerwerków też. Sucha historia. Dla jednych żałosna, dla innych magiczna i klimatyczna.

„Bękart wojny”, czyli kwintesencja Tarantino

Artykuł autorstwa Krzysztofa Konstantinow

Jako że po Tarantino można się spodziewać wszystkiego, najlepiej w ogóle nie robić sobie oczekiwań przed obejrzeniem „Bękartów wojny”. Już na zapowiedziach mogliśmy zobaczyć tytułowy oddział „bękartów”, który za zadanie obiera sobie zniszczenie nazistów. Poszedłem do kina nastawiony na film wojenny – zważywszy nas tematykę – okraszony świetnymi scenami batalistycznymi i licznymi związanymi z nimi efektami specjalnymi. Ale nie jest to tego typu obraz. Jest to film pełen groteski, który w ogóle nie oddaje powagi, grozy wojny. Widać, że reżyser postawił na reinterpretację historii. I może powinienem być zawiedziony, ale – wcale nie byłem. Ten film jest naprawdę bardzo dobry!

„Bękart wojny” dzieli się na rozdziały podobnie jak pozosta-

łe filmy Tarantino. Tym razem dostrzegamy dwie linie fabularne. Pierwsza z nich opowiada o losach pewnej kobiety, shosanny, druga natomiast koncentruje się na tytułowych bękartach. Na początku pojawiają się dwa swego rodzaju prologi, które mają nas wprowadzić w konwencję filmu oraz nakreślić sytuację, w jakiej znajdują się bohaterowie. Mimo takiego podziału, reżyserowi i tak ukazało się zachować jego spójność, ciągłość obrazu. Obie historie zążebiają się ze sobą, od pewnego momentu traktują o tej samej sprawie, więc pomimo obecności różnych bohaterów w obu liniach fabularnych, widz raczej nie powinien czuć się zagubiony.

Skoro mowa o bohaterach... Aktorzy naprawdę dobrze odgrywają swoje role. Głównym bohaterem jest Aldo "Apache"

Raine grany przez Brada Pitta. Aktor przeszedł sam siebie, nie spodziewałem się, że będzie potrafił zagrać aż tak dobrze. Akcent, z jakim wypowiada swoje kwestie, jest wręcz genialny, a scena, gdy mówi po włosku, wejdzie chyba do klasyki scen Tarantinowskich.

Innym aktorem doskonale odgrywającym swoją rolę jest Christoph Waltz, czyli Hans Landa, który potrafi – w filmie – doskonale odnaleźć się w każdej sytuacji. Role drugoplanowe także dodają smaczku obrazowi: spotykamy samego Hitlera, Goebbelsa, a na pochwałę zasługuje cały oddział „bękartów wojny” – każdy z nich ma w sobie coś niepowtarzalnego. Dialogi natomiast są esencją całego filmu. Nie akcja, czy dynamika, bo ich jest tak naprawdę w tym filmie mało, tylko dialogi. Są rozpisane perfekcyjnie,



„Inglorious Bastards” –
„Bękarty Wojny

Francja, Niemcy, USA 2009

Reżyseria: Quentin Tarantino

Scenariusz: Quentin Tarantino

Zdjęcia: Robert Richardson

Muzyka: Ennio Moricone

prawie każdy zakończony jest puentą, dowcipną ripostą, która stanowi zwieńczenie całej sceny.

Film wypełniony jest groteską, zresztą tego akurat można się było po tym reżyserze spodziewać. Tarantino jak zwykle stara się rozbawić widza niekonwencjonalnymi gagami, czasem przesadzonymi, lecz nieustannie rozbawiającymi widza.

Film zaskakuje. Myślałem, że

wiem, co się zaraz wydarzy, jak potoczą się losy bohaterów, jednak kilkakrotnie zostałem zaskoczony rozwojem akcji, pomysłowością reżysera, jak i jego kunsztem. Przekonałem się, Tarantino potrafi wprawić widza w jakiś trans, żeby potem go z tego transu wyrwać w najmniej oczekiwanym momencie. Film jest pełen przemocy. Krwi czy cierpienia nie brakuje. Bękarty skalpują swoje ofiary, a także wycinają im na czole swastykę – wszystko to pokazane jest dość naturalistycznie, co może zrobić szczególne wrażenie na ludziach o słabych nerwach.

Podsumowując – to film, który może zrelaksować, nie ma w nim patosu i tym podobnych wyznaczników tradycyjnego kina wojennego. Dostrzegamy

za to zabawę konwencją czy samym kinem, czyli to, co Tarantino wychodzi najlepiej. „Bękarty wojny” są pastiszem innych obrazów opowiadających o II Wojnie Światowej. Tarantino uświadamia, że nie trzeba generalizować, pokazywać wojska jako ludzi (tylko) odważnych, heroicznym i szlachetnym, bez skazy i że film wojenny nie musi być kojarzony (tylko) z patosem. Jednak mimo ogólnego entuzjazmu po wyjściu z sali, odczuwałem pewien niedosyt. Pewnie dlatego, że postrzegam kino wojenne inaczej niż Tarantino. I pewnie dlatego wolałbym, żeby kolejne filmy tego reżysera osadzone były w konwencji współczesnej, a interpretacją historii zajął się ktoś inny.

„Fala” - udany eksperyment?

Artykuł autorstwa Tomasza Antosiewicza

„Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz”, to znane wszystkim z historii hasło wyrażające idee zjednoczenia narodowosocjalistycznych Niemiec i powstanie III Rzeszy. Do 19 października uważałem, że wyrażona tym hasłem idea, po doświadczeniach II wojny światowej i holocaustu, pozostanie jedynie zapisaną kartą historii i jako symbol zbrodni nie będzie mogła odrodzić się w żadnym miejscu i czasie. Moje przekonanie zmienił obejrzyany w tym dniu film fabularny „Fala”.

W powyższym obrazie przedstawiono przebieg eksperymentu przeprowadzonego w jednym z niemieckich liceów pod nadzorem nauczyciela WOS-u Reiner Wagnera. W ramach projektu przekonującego młodzież o przewadze zalet nad wadami demokracji, Reiner doprowadził do stworzenia z grupy uczniów, nieposiadających wspólnego celu, społeczności o cechach systemu totalitarnego. Poniższy artykuł nie będzie jednak recenzją filmu, lecz próbą zrozumienia, dlaczego stało się to

możliwe.

Na początku akcji, w jednej ze scen, Reiner mówi uczestnikom eksperymentu, że nie lubi „klimatów około faszystowskich”, a jego stwierdzenie znajduje aprobatę grupy. Powyższa scena, wg mnie, jest jednak tylko pustą manifestacją, gdyż w rzeczywistości Reiner podporządkowując sobie uczniów, tworzy z nich wewnątrz zamkniętą grupę osób, świadomą własnej odrębności, posiadającą własne cele, realizowane

w bezwzględny sposób. Oglądając film, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że w ten właśnie sposób narodził się w Niemczech w latach 20. XX wieku ruch narodowo-socjalistyczny.

Analiza postawy Reinera Wagnera i uczniów wskazuje, iż ich odcięcie się od totalitarnej przeszłości Niemiec miało charakter powierzchowny i nie wynikało ze zrozumienia procesów historycznych, a również socjologicznych, które doprowadziły w bezpośredni sposób do powstania państwa totalitarnego. Źródła tego zjawiska trzeba szukać w braku zamknięcia dialogu z przeszłością. Niemcy w filmie odno-

szą się wbrew pozorom nie tyle do faszyzmu, ile do nazizmu, nie do stricte systemu, lecz do ideologii. Potępiają jedynie Trzecią Rzeszę jako państwowość – powierzchowność tego kroku szokuje. Państwa Hitlera nie można wyrywać z kontekstu, chociażby historycznego. Ukształtowało się ono na drodze procesów toczących się na oczach wszystkich narodów świata. Potępiono jednak wyłącznie ustrój. Nie chcę powtarzać

truizmów, ale zapomniano o historii, o jej wymiarze ostrzegającym. Mam wrażenie, że II wojna światowa uczy dziś tylko młodzież, że Hitler był zły, a Niemcy to zwyrodnialcy. Brak głębszej refleksji nad rzeczywistym przebiegiem związków przyczynowo-skutkowych rządzących procesami historycznymi sprowadza historię do roli nauki martwej i społecznie nieprzydatnej.



Nauka tak pojmowanej historii kojarzy się jedynie z wykuwaniem na pamięć dat i zdarzeń przez społeczeństwa, które cyklicznie popełniają te same błędy. Przy czym nie dotyczy to pozorów tylko przeszłości, lecz dotyka całości kultury.

Młodzież ukazana w filmie „Fala” to pozbawione umiejętności samodzielnego myślenia i analizowania, początkowo bezideowe jednostki. Oto scena jednej z imprez, w której biorą udział bohaterowie: alkohol,

taniec, dysputy przy barze, chciało by się powiedzieć, że ideologiczne. Wspomniana dyskusja dotyczyła wspólnego celu młodzieży, ich idei. O czym tu rozmawiać? Skoro współcześnie nie istnieje żadna zespalająca młodzież idea, symbolika. Pozostaje bohaterom (nie tylko z resztą im) jedynie pogoń za zabawą. Alternatywę dla tego swoistego hedonizmu bohaterów stanowi projekt Reinera, który

dla uczniów staje się nową ideologią. Jego realizacja przynosi opłakane skutki ze względu na wcześniej wspomniane splecenie i wypranie z moralności.

Ukazani w filmie uczniowie zdolni do krytycznego myślenia, zostają wy-

rzuceni poza nawias grupy, natomiast uczeń najbardziej oddany projektowi nauczyciela, dopuszcza się zbrodni, a pozbawiony tej idei odbiera sobie życie.

Bezideowość społeczeństwa XXI wieku stwarza niebezpieczeństwo, że zewnętrznie atrakcyjne ideologie, które jednoczą ludzi, w sposób ukazany w filmie, mogą zostać zrealizowane w każdym miejscu i czasie.

„Die Welle” – „Fala”

Artykuł autorstwa Kamila Fijałskiego

Co niektórzy uczniowie naszej szkoły mieli możliwość obejrzeć ten film z okazji Dnia Kultury Niemieckiej w kinie Kalejdoskop. Choć wśród uczniów wzbudził mieszane odczucia, to mimo wszystko nie jest to film, obok którego można przejść obojętnie.

Fabula zaczyna się dość niewinnie. Pomysł przybliżenia młodym ludziom zasadom systemu autokratycznego wydaje się być doskonały dla urozmaicenia zajęć lekcyjnych (nie bez powodu akcja dzieje się w Niemczech. To przecież tu, blisko 80 lat temu, narodziła się dyktatura, która zmieniła świat) – o tym świadczy też pozytywna reakcja samych uczniów.

Następnym etapem jednoczenia grupy jest wybór przywódcy, uniformu, czy w końcu nazwy i pozdrowienia. Jednak wkrótce „Fala” staje się dla uczniów czymś więcej niż tylko szkolnym projektem. Całą wiedzę, która jest im przekazywana na lekcjach, wnoszą również poza mury szkoły. Dyktatura rozszerza się poza grupę, która uczestniczy w eksperymencie. Jeśli ktoś sprzeciwia się „nowej władzy”, jest natychmiast spychany na margines.

Jednak „Die Welle” nie jest filmem, który ma pokazać tylko, na czym polega dyktatura. Bardziej koncentruje się na problemie braku zainteresowania ze strony rodziców,

wszechobecnej nudy, frustracji, która gnębi również i nasze pokolenie. Zaklejanie miasta wlepkami czy malowanie tagów na murach i szybach to, wbrew pozorom, dosyć dobra forma odreagowania po ciężkim dniu.

Mimo iż sam film jest dość psychodeliczny, koniec jest – mówiąc krótko – smutny. Śmierć, a dokładniej samobójstwo jednego z uczniów, dla którego „Fala” stała się drugą rodziną, jest momentem samym w sobie wstrząsającym. Następne sceny pokazują aresztowanie nauczyciela i dezaprobatę wyrażaną przez uczniów, którzy jeszcze kilka godzin temu byli gotowi na wszystko dla swojego „wodza”.

Pomimo czasem zbyt wielu wyolbrzymiania niektórych sytuacji, np. kiedy dziesiątki uczniów charakterystycznie salutują swojemu wodzowi, uważam, iż jest to film, który naprawdę warto zobaczyć. Na pewno nam – jako młodym ludziom – może uświadomić, że są granice, których przekroczyć nie można, gdyż skutki mogą być tragiczne i nieodwracalne.

Ostrzega nas również przed powtórką z historii, gdyż wbrew wypowiedziom uczniów z początku filmu, którzy byli przekonani o niemożności powrotu do dyktatury, film pokazuje, że nie potrzeba

wiele, aby i współcześnie na ulicach wołano „Heil Hitler!”.

„Die Welle” – „Fala”

Niemcy 2008

reżyseria: [Dennis Gansel](#)

scenariusz: [Dennis Gansel](#), [Peter Thorwarth](#)

zdjęcia: [Torsten Breuer](#)

muzyka: [Heiko Maile](#)

czas trwania: 107

„Galerianki”

Artykuł autorstwa Adama Stasiaka

Film „Galerianki” w reżyserii Katarzyny Rosłaniec opowiada o kilku dziewczynach w wieku 16 lat, które swój czas wolny spędzają w centrach handlowych, gdzie oferują seks mężczyznom w zamian za zakup ubrań czy też upominków. Do ich grona próbuje

się dostać Alicja, która dopiero niedawno przeprowadziła się do miasta.

Próba znalezienia się wśród tej "elity" przebiega podobnie jak w filmie "Cześć, Tereska".

Dziewczyna bez wsparcia w domu, zagubiona, robi

wszystko, by dostać się do

tego grona. Bardzo ważną rolę odgrywa też Michał, kolega z klasy Alicji, zresztą w niej zakochany, który jest przykładem nastoletniego romantyka.

Nieodłącznym elementem filmu jest wulgarny język, którego używają w nim wszyscy. Cały film pokazuje bardzo trudną sytuację dużej części młodzieży, pozbawionej aurytetów i właściwej edukacji, co często przyczynia się do jej zejścia na złą drogę.

Film ten uświadamia, jak bardzo spaczone – głównie przez złe doznania życiowe – może być myślenie młodej osoby, co obrazuje pytanie Alicji: "Czy myślisz, że seks może być przyjemny?".



Jestem wielkim wędrowcem, czyli film „Mądrość i seks”

Artykuł autorstwa Zuzanny Paszkowskiej

Jest to jedna z głównych myśli zawartych w debiutanckim filmie Madonny, która jest odpowiedzialna za jego reżyserię i scenariusz. Film mieliśmy sposobność obejrzeć (kto nie widział, ten stracił, a myślę, że straciło wielu, bo w piątkowy wieczór frekwencja wynosiła osób 5), dzięki nikomu innemu, jak naszemu płońskiemu kinu i tu wielkie brawa za propagowanie kultury na

poziomie.

Tak jak mogliby się spodziewać wszyscy, i jak spodziewałam się ja, iż obecność Madonny będzie zaznaczona w jakiś szczególny sposób w tym dziele, tak bardzo się pomyliliśmy, i za to już pierwszy plus. Piosenkarka zachowała się profesjonalnie i widać, że chodziło o stworzenie dobrego filmu, a nie zareklamowanie swojej osoby. Kategoria filmo-

wa, która jest przypisywana przez dystrybutorów kinowych, to komedia. Jednak zawarty specyficzny i czarny humor spodoba się tylko wąskiej części publiczności, bowiem Madonna stawia na jakość oraz kino ambitne. Film jest utrzymany w stylistyce kina Tarantino czy Rodrigueza, czy jak twierdzą złośliwi – byłego męża, ale w tym przypadku, to dobry wybór.

„FIlth and wisdom” (tytuł ang.) opowiada historię trójki przyjaciół – współlokatorów, którzy próbują odnaleźć swoje własne miejsce w życiu. A.K. (Eugene Hutz) jest wokalistą zespołu punk-rockowego, co jednak nie przynosi mu zarobków, więc zarabia na życie, spełniając niecodzienne zachcianki żonatyh mężczyzn, Holly (Holly Weston), w której zadurzony jest A.K., to baletnica, która próbuje swoich sił jako striptizerka w nocnym klubie, oraz Juliette (Vicky McClure) – młoda pracownica apteki, lekomanka, niemogąca zapomnieć o wydarzeniach z przeszłości, której najważniejszym celem jest ratowanie głodujących dzieci w Afryce.

Choć można uznać, że nasi bohaterowie są typowymi produktami współczesnej cywilizacji – pozbawieni wszelkich zasad moralnych, oporów, zahamowań czy godności, to my poznajemy ich od zupełnie innej strony. Są to młodzi ludzie pełni wrażliwo-

ści, pasji, próbujący w jakiś sposób się odnaleźć i to życie ujarzmić. A.K., Juliette oraz Holly posiadają marzenia, które z powodu otaczającej ich rzeczywistości nie mogą być przez nich realizowane. Problemy finansowe skłaniają ich do czynów, których tak naprawdę sami nie akceptują. Jak oddzielić siebie od własnych postępowań? Jak być obojętnym wobec czegoś, co jest dla nas brudne i złe? – to nie kwestia wyrachowania czy wyboru, lecz braku wyjścia.

Film nas zachwyca, bo pomimo tak życiowej tematyki – czyli radzenia sobie z bagnem sprzeczności i absurdu, jakim jest życie, ma w sobie dużo ironii, humoru i dystansu, czyli tego, czego zwykle nam brakuje. Wielość trafnych spostrzeżeń, błyskotliwych dialogów, niebanalny pomysł na scenariusz i ponad wszystko genialna muzyka Eugena Hutz-a czyni „Mądrość i seks” prawdziwą prowokacją i hitem sezonu. Nie znajdziemy tu burżuazyjnej egzystencji obla-



nej lukrem w uporządkowanym świecie bez wykroczeń, a mnóstwo seksualności, perversji i emocji, w tym gniewu, żalu, niezrozumienia, ale też i prawdziwego szczęścia. Są to stałe czynniki naszego życia, które w ostateczności pozostaje naprawdę piękne. I nie próbujmy udawać, że jest inaczej lub starać się być kimś innym, bo jak mówi A.K.: „Jeśli całe życie jesteś święty, to w końcu zapragniesz czegoś zupełnie innego.”

Z pamiętnika nastolatki

Odcinek 9.: Tajemnica

Opowiadanie autorstwa Joanny Felczak

Poniedziałek, 30 kwietnia

Ładnie, leżę w domu. Ale opiszę, co się działo w szkole, a działo się! Przyszłam, a tu Bryska się na mnie wiesza:

- Julek, przepraszam cię! Co za głupoty mi strzelają do głowy! Tak mi przykro, popsułam ci

sobotę, och, naprawdę, zrozumiałam, że bez ciebie to nie to samo, ja bez ciebie nie umiem żyć! Ty jesteś mój Julek i kropka!

- Bryska, ostrochnie, cihej, moja gyowa...

- Co się stało? Boli?

- Tak, gyowa. Jestem choya. I to pohądnie – trudno mi było coś mówić w ogóle.

- Ojej! Moje biedactwo, już jestem cichutko, zespołem się nie przejmuj, mamy już obstawę: perkusistę, gitarzystę, kogoś od pianina i od keyboardu. Sami chłopacy i my dwie,

wokalistki, czyż to nie cudowne? Będziemy śpiewać! - Ohehey... - o śpiewaniu to mogłaby mi nie wspominać przez czystą grzeczność i współczucie...

Napisałam dwie klasówki, postanowiłam zostać jeszcze w szkole, niech nauczyciele patrzą, jak się męczę! Akurat była historia. Myślałam, że umieram. Zakręciło mi się w głowie i padłam jak długa na ławkę. Bryśka mi potem opowiedziała.

- Padłaś jak długa na ławkę, Śmigalska się wkurzyła! Zaczęła krzyczeć: „Kręglicka! Kręglicka! Do dyrektora!” Ja cię trącam, mówię: „ Julek, wstawaj, bo będziesz miała kłopoty”, a ty nic. Śmigalska się zlekła, przyleciała do nas i sprawdziła ci puls i takie tam, wiesz, dla popisu. Krzyczy: „Ona zemdlą! Szybko, Gabriela, po pielęgniarkę!” Ja lecę, pielęgniarki nie ma, to do dyra, a on pogotowie wzywa! Przyjechała karetka i jak na filmie jakimś! Normalnie cię wywieźli, na wpeł przytomną!

Super, Paula ma wolne do końca tygodnia, więc się zgłosiła, żeby ze mną siedzieć. Lekarze mnie już tak pokłuli, posprawdzali i wybadali, że pewnie przez następne dwa-dziesiąt lat będę zdrowa. Okazało się, że obok ostrego przeziębienia mam jeszcze ogólne przemęczenie organizmu, prawdopodobnie za dużo nerwów.

- Rzeczywiście, panie doktorze, córka ostatnio miała bardzo dużo stresu, widzi pan... -

tyle usłyszałam w szpitalu. Po badaniach mnie wypisali i mam być w domu. Lekarz mówi, że czasami dobrze jest zachorować, jeszcze nie wystawiają ocen, testy były w zeszłym roku, poza tym należy mi się odpoczynek i trochę uwagi. No i dobrze, mi to pasuje. Mam zwolnienie do piątku. Więc cały tydzień wolny i klasówki zaliczone. A Śmigalska już na mnie inaczej patrzeć będzie. Życie jest piękne, kiedy daje nam niespodziewaną chorobę, która jest niegroźna, łatwa w leczeniu, długa jak tydzień, a przede wszystkim zdecydowanie lecznicza... Czy to nie paradoks?

Paula ciągle jest ze mną, czasem Marcin wpadnie. Kupują mi ciągle jakieś owoce, jakieś kanapeczki mi robią, kocham mieć grypę, oj gdyby nie ta głowa i nie ta gorączka... I nie to gardło, nie ten katar, nie te zawroty, nie te bóle... to by było dobrze. Ale jest jak jest. Pauli się wygadałam ze wszystkiego. Nawet ze spotkania jej swetra z panem Król-wiczem. Powiedziała, że on się we mnie zakochał jak nic. Gdybym mogła jej przyłożyć... Tak mnie wkurzyła, ale potem powiedziała:

- Nie martw się, nie on jeden na świecie, tobie też zaraz przejdzie, ale myślę, że powinnaś coś zrobić, chociaż go przepros. Uraziłaś jego męską dumę i widzisz... klops! - to mnie siostra pocieszyła.

Nudzę się, Paula poszła do domu. Mama lata po mieście,

szuka pracy, załatwia jakieś papiery w urzędzie pracy. Tata pracuje do czwartej. Jest czwarta za dziesięć. Chyba coś poczytam, telewizja to kosztmar, same telenowele meksykańsko-wenezuelskie.

Nudzę się. Jest nudno. Nudy. Co za nudy. Jakie nudy. Cooooooooo zaaaaaaa nudyyyyy... Nudy... Idę spać.

Wtorek, 1 maja

Cóż za fantastyczna wiadomość, przyjedzie do mnie dzisiaj kuzynka Krzysia! Paula musiała do pracy lecieć tak wyjątkowo, bo pani Renata Koza ma problemy z żołądkiem i tylko Paulina może jej w tym pomóc.

Wyglądam okropnie, co za radość! Wreszcie nie muszę się stroić, mogę robić, co chcę, tylko ta gorączka... Mamusia przyszła do mnie:

Kuzynka Krzysia to babeczka na 102! Jak nie na 103! Przywiozła mi album, w którym od lat zbierała zdjęcia ogrodów z różnych czasopism, dostawała je kiedyś od znajomych. Obejrzałyśmy film numer 6. Plakowałyśmy obie, ale nic nie powiedziała. Twarda sztuka, ja już dawno bym się wygadała!

Znowu się nudzę, filmów nie chcę sama oglądać, skoro mam je zobaczyć ze wszystkimi członkami rodziny. Na czytanie nie mam chęci ani zdrowia, poza tym mama mi nie pozwala czytać w gorączce. W zasadzie nic nie mogę robić. Nawet do łazienki mi ciężko wyjść.

Co za utrapienie z tymi choróbskami! Jakby nie miało, kogo wziąć tylko mnie! A co ja zrobiłam? Przecież jestem dobrze wychowana! Grzeczna! Miła! Uczę się w miarę dobrze! Na korepetycje też chodziłam grzecznie, a że były tylko dwa razy, to już nie moja wina!

Paula przyszła i miała dziwny błysk w oczach. Ona kłamać to nie umie, jest na to zbyt inteligentna, a ja już się nauczyłam rozpoznawać jej uśmieški.

- Co ty kombinujesz, Panno Stara? – powoli odzyskuję głos.

- Ej, młoda się znalazła!

- No, ale co ty kombinujesz? Panno? Stara!

- Ty, Młoda! Działasz mi na nerwy, zaraz pójdę po męża! – roześmiała się moja siostrzyca.

- No, ale ja widzę! Co ty kombinujesz?

- Nic.

- Nie umiesz kłamać.

- Ja nie kłamię.

- Ta, żebym czasem nie uwierzyła przypadkiem!

- Oj nic!

- No widzę! O! Marcin, co ta twoja Panna Stara kombinuje?

- Marcin wszedł uśmiechnięty tak samo, jak i Paulina.

- A ja tam wiem? – rozrechotał się mój szwagier.

- Oj, no wiecie co? Ale jesteście! Oboje siebie warci! Szwagrze, naucz się, że moja siostrunia kłamać nie potrafi, jej się tajemnic nie mówi. Ale widzę... Ty to samo!

- Oj, popsujesz nam wszystko! Udawaj, że nie zauważyłaś! – rzuciła Paula.

- Noooo, Paaaaaulaaaa... Marcin, weź jej coś powiedz!

- Paula, mówię ci coś!

- Ale śmieszne! Nie gadam z wami! – nagle usłyszałam w korytarzu jakieś hałasy.

- Coś ty! – mówiło echo głosu mamy, gdy wchodziła do domu z klatki.

- A zobaczysz sama! – brzmiał radosny głos taty.

- Hej! Co wy wszyscy nagle tacy zadowoleni?!

- Nie, czemu?

- Ojeju! Paula się wygadała, że coś ukrywacie!

- Paulina! Oszalałaś? Popsułaś

wszystko! – zdenerwował się tata.

- Nie powiedziałam jej nic, tylko że ona mnie wyczuła! Niech czeka do jutra, a co! Będzie się skręcała, a jej nic nie powiem! – Paula była tak zadowolona, że dołożyła do pieca, że miałam ochotę ją walnąć!

- No dobra. Ale ani mru mru! – zawyrokowała mamusia. Jak oni mnie kochają w tej rodzinie, robią wszystko, żeby tylko mnie dobić!

Nie dowiedziałam się, o co chodzi, do jutra to ja zwariuję! To musi być coś śmiesznego, fajnego, ślicznego lub szklanego, bo Paula tylko takie rzeczy potrafi mi kupować... Już wieczór, więc się położę wcześniej, to wcześniej wstanę i wcześniej to dostanę! Tak minęło święto pracy, a i tak ludzie pracowali. Dobranoc.

Środa, 2 maja

Staram się nie myśleć, co to jest... Ale nie da rady. Paula pary z ust nie puściła! To jest jędza. Tak to zawsze wszystko umiała wygadać! To się nazywa dręczyć biedne młodsze siostry!